

JULITA GRODEK



Ram Dass

I KRÓL ZACHODNICH SMOKÓW

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Michał Mrowiec

Projekt okładki: Jan Paluch

Ilustracje: Piotr Zwierzchowski

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-246-5014-9

Copyright © Helion 2013

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



I

Z nieznanej przyczyny eukaliptusowe lasy wokół O’Kirk zaczęły przyciągać roje świetlistych owadów. Nadlatywały nie wiadomo skąd, aby żerować na liściach, i nigdy nie trwało to dłużej niż kilka godzin. Opite eterycznym olejkiem, zawieszały się nad drzewami. Nocami widać było niebieskawą, rozedrganą masę, która po pewnym czasie dosłownie rozpływała się w powietrzu i nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy zechce wrócić.

Tej nocy było podobnie. Ponad wzgórzami przesunął się nieregularny, fosforyzujący kształt i na odgłos płynącej w dolinie rzeki nałożył się trzepot dziesiątek tysięcy par skrzydełek. Tajemniczy rytuał dobiegł końca.

Nad O’Kirk stał księżyc — wielki i jakby napęczniały; zimny, penetrujący blask wnikał do ciemnych zakamarków, przechodził przez mury, przebijał matową czerń krzaków. Był to księżyc przechodzimur, który każdemu odbierał sen. W ogrodzie gardłowała szukająca partnera sowa. Z łąki pana Zelenki niosło się beczenie; owieczki odzywały się z dziką werwą, jedna za drugą, wreszcie — prawie chórem.

Wuj Sean strzyknął śliną przez okno. Wyblakła twarz robiła wrażenie posępanej ruiny: zmarszczki posiekały ją wzdłuż i w poprzek, z ust pozostała biała kreska, na skroni jaśniało kilka wojowniczych blizn. Jego sylwetka była tak samo skonfliktowana jak wnętrze. Mocne, szerokie plecy kłóciły się ze starymi już łydkami i zrzedliwymi stopami, obutymi w rozdeptane bambosze.

— Wściekły się! — oznajmił, pociągając kolejny łyk whisky. — Beczą, jakby je ktoś zarzynał. Zawsze podczas pełni są takie niespokojne. Zauważyłeś?

Bratanek przytaknął machinalnie, nie słuchając. Przykręcił śrubę w teleskopie i nakierował go na zaglądającą do pracowni, lśniąca tarczę.

Wuj parsknął, zgarnął swoją szklaneczkę i — podnosząc karykaturalnie kolana — ruszył ku stolikowi, na którym znajdowała się napoczęta butelka *wędrującego józefa*. Miał obsesję na punkcie szurania. Pilnował się, by tego nie robić. Szurają starcy, a on nie był starcem! Był dziarskim siedemdziesięciolatkiem, oficerem Jej Wysokości Elżbiety XI i dumnym posiadaczem Złotego Pioruna — najwyższego odznaczenia Zjednoczonego Królestwa. Basta! Ostatnie słowo wypowiedział na głos, sadowiąc się w przykurzonym, wysokim fotelu.

— Czym ty się zajmujesz, chłopcze? Gdyby twój ojciec mógł cię zobaczyć...

— Niestety, nie może — odburknął zacepiony. — Chociaż, jak cię znam, chętnie byś go wywołał z grobu, żeby się na mnie poskarżyć.

Powinien był raczej powiedzieć: „z krainy zmarłych”. Ojciec nie miał grobu. Przepadł w akcji. Zaginął bez wieści. Ciała nie znaleziono. Wuj przejechał palcem wskazującym po etykiecie butelki; przedstawiała siwobrodego starca z podróżnym kijem w dłoni. Dolawszy sobie do pełna i dodawszy dwie kostki lodu, bez żenady uderzył w ton patriarchy:

— Jeszcze mi tu pyskujesz? Mieć przed sobą taką karierę i rzucić ją ot tak, z dnia na dzień! Zawsze wiedziałem, że źle skończysz. Już w akademii były z tobą kłopoty.

— Nie nadaję się do wojska. Nie chciałem też nigdy być agentem Jej Królewskiej Mości...

— Ale byłeś, na parchatego, zgniłego smoka, byłeś! — zaciśnięta dłoń upadła z rozmachem na oparcie fotela. — Mężczyźni w twojej rodzinie od pokoleń zajmują się obronnością...

Na ściennej tablicy zapaliło się kilka światełek. Wuj rozmasował odruchowo pięść, gapiąc się na drewnianą klapkę na oparciu. Rozległ się szurgot uruchamianego mechanizmu i kopuła dachu rozsunała się powoli, odsłaniając granatowe, wiosenne niebo.

Przez pracownię powiał ciepły wiatr, przynosząc z ogrodu zapach ziół i świeżo zroszonej ziemi. Po chwili pojawiła się ciągnąca od lasu ostra, eukaliptusowa nuta, za którą kryło się coś jeszcze: odurzająca — skłaniająca według Seana do „głupich myśli” — woń kwiatów *tupaki*. Rosły dziko na zboczach, tworząc skupiska z dala od kolonii karłowatych ostów; dzięki nim geograficzne opisy opatrzywały dolinę O’Kirk szumną nazwą „tupakowego raj”. Miejscowi postrzegali tę sprawę bardziej prozaicznie, powtarzając po swoich dziadach i pradziadach: „Kto złoży głowę wśród *tupaki*, już się nie obudzi”. Niewinnie wyglądające, kielichowate, purpurowe kwiaty potrafiły podobno uśpić na śmierć.

— Przepraszam, za mocno go tego... — wuj uniósł klaskę i przyglądał się rzędowi różnokolorowych przycisków; miał minę dziecka, które coś zbroiło i boi się reakcji rodziców.

— Uważaj, Sean. Ten sprzęt kosztował majątek. Dopiero co skończyłem go spłacać — upomniął go łagodnie bratanek.

Sean zerknął na niego spode łba, jakby nie dowierzając, że nie dostanie bury. Zanim podjął wątek zmarnowanej kariery, zadarł głowę i wpatrywał się w poznaczone jasnymi punkcikami gwiazd niebo.

— To przez twoją matkę. Miała na ciebie zgubny wpływ. On nie potrafił się jej oprzeć, zgadzał się na wszystko. Mój nieodżałowany Liam, biedaczysko. Zapomniał, że chłopca trzeba dyscyplinować.

— Nie sądzisz, że miłość wystarczy?

Takich pytań mężczyzna nie powinien zadawać drugiemu mężczyźnie. Wuj zachnął się, wylewając przy tym nieco alkoholu na rękaw koszuli.

— Nie jestem głupi! — warknął. — Wiem, jaki skarb od niej dostałeś. I jakie przekleństwo...

— To nieprawda. Dobrze mnie wychowała. Zawsze powtarzała: „Robię to dla innej kobiety, dla twojej przyszłej żony”. Kochała mnie, ale nie była zaborcza, a to wielka sztuka!

— O to, to. Te wasze niekończące się psychologiczne dywagacje. Na tym, chłopcze, to ja się na szczęście nie wyznaję. Wiem tylko tyle, że jej spojrzenie na życie było absolutnie nieracjonalne, a ona sama — nieprzewidywalna. Kapłanka Wielkiej Matki, taaaak. Zaraziła cię dziwactwami. Zresztą, już samo imię, które ci nadała: „Sługa Boży”. Ram Dass Thatcher — no, posłuchaj, jak to brzmi!

Ram Dass Thatcher lubił swoje imię. Ba, był z niego nawet trochę dumny. Pokazał upierdliwemu krewniakowi dwa palce ułożone w literę V, po czym przespacerował się wzdłuż rzędów półek, sprawdzając coś po drodze na ruchowej mapie pogody.

Pracownia wyłożona była prawie w całości mahoniowym i tekowym drewnem. Znajdowała się na ostatnim piętrze trzykondygnacyjnego, archaicznie wyposażonego domu, wzniesionego na ruinach rodzinnego zamku, z którego po rozbiórce pozostawiono jedynie kamienną podmurówkę. Pokazną część pomieszczenia zajmowała cenna biblioteka: prawdziwe, drukowane na papierze książki. Dużo poezji i powieści, mało nauki, albumy ze sztuką erotyczną, filozofia, biografie świętych i mistyków. Na odkrytych półkach figurki Wielkiej Bogini. Głina i metal, dupiaste i smukłe. Czilum do palenia haszyszsu. Skrzypki, popsuty sitar, tabla, gryf od sarangi. Kryształowe kule i półszlachetne kamienie, gładko wypolerowane czaszki zwierząt, różańce, mikroskopy oraz starannie opisane pojemniki. Wszystko to świadczyło o rozlicznych zainteresowaniach tak krytykowanego przez Seana gospodarza.

Bratanka dzieliła od wuja różnica dwudziestu paru lat. Tym niemniej, ich fizyczność nosiła ślady łatwego do rozpoznania, klanowego podobieństwa. Obydwaj zaledwie średniego wzrostu, ale ładnie zbudowani, rudzi (z tym że wuj nieco wypłowiał) i niebieskoocy, odznaczający się charakterystycznym dla Thatcherów, przenikliwym spojrzeniem. Właśnie to spojrzenie, stanowczy komunikat samca: pana i władcy, przyciągnęło do Ram Dassa jego obecną żonę — Mary. Byli szczęśliwą parą, rodzicami trzech córek. Ich dom był szczęśliwym miejscem, w którym wspólnie muzykowano i prowadzono nieśpieszne wieczorne rozmowy. Wuj Sean przybył do niego pewnej słotnej zimy z długo odkładaną wizytą i został na stałe, zajmując narożny pokój na parterze. Najpierw nie mógł wyjechać ze względu na przeziębienie złapane w podróży, a kiedy wydobrzeał, był już właściwie domownikiem. Dziewczynki zaczęły go nazywać „dziadkiem” i wszyscy przyzwyczaili się do jego gderania, traktując obecność starego jak naturalny stan rzeczy. Sean lubił się obrażać, co najmniej raz w miesiącu groził wyprowadzką, lecz Ram Dass wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Byli na siebie skazani.

— *Mary, do ogródka wyjdź, gdy nietoperz rusza w tan.*

Mary, do ogródka wyjdź, tu, przy furtce stoję sam,

A zapach ziela unosi się w krag.

Pachnie mocno różany krzak... — zaintonował, wyjmując zza opasłego tomu niewielkie pudełeczko. Wyłuskał z niego zieloną, lepką grudkę, która położyła na jego dłoni tłusty osad. Nabił nią fajeczkę, zapalił, zassał i wciągnął dym do płuc.

— Wuj? — zbliżył się do Seana z ujmującym uśmiechem.

Każdy, kto znał kiedyś jego matkę, musiałby w tej chwili poczuć niepokój. Był to uśmiech Najwyższej Kapłanki. Na twarz Ram Dassa nałożyła się na kilka sekund inna twarz: oblicze bezczelnej boginki, która mówi: „Ten świat sączy się przeze mnie z całą jego marnością. Znoszę go cierpliwie i nie zamierzam dodawać do niego goryczy”. Sean poddał się urokowi i przymknął oczy, biorąc podaną sobie fajkę.

— Niesforny — wymruczał. — Tak samo niesforny jak ona. Nic sobie z niczego nie robi... — zaciągnął się i rozkaszał paskudnie; potem uciekł w milczenie.

Teraz wuj i bratanek bawili się swoimi myślami. Nie wiedzieli, jak zacząć rozmowę. Z powodu różnicy charakterów ich kontakt, choć można go nazwać przyjaźnią, był utrudniony. Trudno było rozluźnić starego, wykrzesać z niego beztroskę. Ram Dass lubił sobie tłumaczyć, że urządza mu seanse palenia w celach terapeutycznych. Kiedy ich ruchy stały się bardziej płynne i wuj był nareszcie gotów, Ram sięgnął po skrzypce. Zagrał kilka taktów. Sean ożywił się. Ubyło mu lat. Jego głos nie był już chrapliwy. Zaśpiewał w natchnieniu, zapomniawszy o reumatyzmie:

Mary, do ogródka wyjdź, gdy nietoperz rusza w tan.

Mary, do ogródka wyjdź, tu, przy furtce stoję sam,

A zapach ziela unosi się w krąg. Pachnie mocno różany krzak.

Syn Liama i Any wystukiwał rytm bosymi stopami. Ubrany w luźną, płócienną koszulę i workowate portki, przypominał wiejskiego grajka na weselu. Brakowało mu tylko zawadiackiego kapelusza ze wstążką.

Do milej mówię: patrz, jaka noc —

Winogronna, ach, miła ma.

Młody panie, próżno przyzywasz los

I zaklinasz. Nie będzie twa.

Mówię więc róży mej: zostań i przysiąc chciej.

Na zawsze, na zawsze ma...

Ostatni wers zaśpiewali razem; do wzruszającego finału przyłączyli się pies i owce pana Zelenki. Tylko koty przez cały wieczór nie odezwały się ani jednym miauknięciem. Poważne i milczące, obserwowały występ z najwyższej półki pracowni; dwa nieruchome, futrzane sfinksy.

Odstawiwszy instrument, Ram Dass postanowił zadbać o kręgosłup. Ułożył się na dywanie i wykonał serię ćwiczeń tak zwanego „wewnętrznego rozciągania”, którego na próżno próbował nauczyć Seana. Skoncentrował się na pępku, po czym rozpoczął wypychanie w dół, prostując sztywno kończyny. W ten sam sposób rozciągnął górną część ciała, a następnie wypychał obydwie — górną i dolną — w przeciwnych kierunkach, jakby chciał się rozerwać na pół. Dla równowagi należało każdą sekwencję rozciągania zakończyć sekwencją „ściągania”. Ruchy bardziej w środku niż na zewnątrz ciała. Bawiło go to. Jego ciało poczuło się wesołe i rześkie. Masował śmiechem przeponę, a gdy umilkł, okazało się, że milczą również nocne ptaki; uci- chło szczekanie i beczenie.

Leżał z rękami założonymi pod głowę i patrzył w górę, ukołysany nagłą ciszą. Miał nad sobą mrugającą świecidełkami otchłań. Rozpoznawał łuk Korony Północnej wokół gwiazdozbioru Wolarza i myślał o tym, jak oślepiające i nie do zniesienia musi być samo światło — w swej czystej, niczym nie-przesłoniętej postaci. Gdyby szarpnąć tę granatową zasłonę i rozedrzeć ją jak kawał sukna, świat zostałby zalany blaskiem, w którym zniknęłaby dolina O’Kirk i inne doliny, góry i miasta. Co potem? Czy coś w ogóle by było? Jakaś linia fabularna? Jakieś wątki? Dobro? Zło? Przewrócił się na bok.

— Śpisz? — rzucił do tkwiącej w fotelu postaci. — Weź sobie koc spod stolika, żebyś nie marzył w nogi...

— Nie marzę! — odburknął wuj zwykłym, zręczliwym tonem, ale zanurkował dłonią pod blat.

Gdy drapał na sobie niezdarnie wełniany pled, Ram Dass spoważniał i rzekł, wstając:

— Musimy pogadać. Spotkałem onegdaj w sklepie doktora Zandera — ustawił się przy teleskopie i manipulował długim tubusem, dając staremu czas na przetrwanie informacji. — Pytał, czy chcesz wziąć udział w programie.

— Oczywiście, że nie chcę!

— Hm, bardzo dobrze — spojrzął w okular.

— Też tak uważam!

Jego oko wyłapywało mnogość przytłumionych odcieni: posypaną popiołem biel i rozbieloną czerń. Dzioby kraterów, bąble, rysy i załamania. Bruzdy, niczym na gębie Seana. Pamiątkowe blizny po niewyobrażalnie odległej katastrofie, która mogła być jednocześnie narodzinami. Znał na pamięć smutek tej pozbawionej wody, perwersyjnie brzydkiej powierzchni i właściwie miał sobie nieraz za złe to, że trawi tyle godzin na jej obserwowaniu. Jego pokolenie było jeszcze bombardowane ideą kosmicznej ekspansji. Wmawiano mu, że da się tam godnie żyć. Nigdy w to nie wierzył. Księżyc nie był w nagrodę, był za karę. Z czasem stał się synonimem marnych zarobków oraz miejscem przymusowej reedukacji poprzez pracę. Gdzieś pod warstwami martwego pyłu znajdowały się ruiny zasiedlonych więźniami wiosek. Po drugiej, niewidocznej z Ziemi stronie, wśród pagórków i wzniesień kryły się nowe kolonie: K10 i K11, które posłużyły za bazy wypadowe podczas kampanii marsjańskiej.

Otrząsnął się i zmusił do przerzucenia uwagi na inny obiekt.

— Chciałem powiedzieć: bardzo niedobrze — skarcił wuja wzrokiem. — Powinieneś się zgłosić. Możemy razem wypełnić formularze. Odwiozę cię do kliniki. Niczego się nie bój. Koszty pokrywa ubezpieczenie. Pan Zelenka jest już po kuracji i bardzo sobie chwali.

— Widocznie musi być piękny dla swoich owieczek! — uciął złośliwie Sean.

— Mnie jest dobrze, jak jest: mam siedemdziesiąt pięć lat, jestem weteranem kilku wojen, w tym jednej międzygalaktycznej, i oczekuję na śmierć. Nie dla mnie ten ichni program. Nieśmiertelność to bezczelność! — zarymował mimowolnie. — I w ogóle, czemu wynaleźli ją dopiero teraz, kiedy wszyscy moi koledzy już nie żyją?

— Matką wynalazku jest jak zwykle potrzeba — westchnął filozoficznie Ram Dass. — W ostatniej wojnie wyginęła połowa ziemskiej populacji, ludzie rozmnażają się coraz mniej chętnie, a leczenie klonów generuje ogromne koszty...

— I dla kogo niby ja mam żyć? Dla was? Przecież wiem, że tylko czekacie, żebym kopnął w kalendarz! Twoja żona nareszcie przestanie mi mieć za złe, że wydaję moją emeryturę „na bzdury”. Widzę, jak patrzy na moje cygara... na moje gazety... Zresztą, jak sobie pomyślę, że mam być przenie-

siony w nowe ciało, to jest, tfu!, w ciało kogoś, kto dopiero co udał się na łono Abrahama... nie! To jest upadek, to jest nędzne, to jest wstrętne, sprzeczne z moją wiarą, sprzeczne z...

Ram Dass uśmiechnął się na wzmiankę o wierze, znał bowiem wuja jako zatwardziałego ateusza. Nastawił funkcję zbliżenia. Coś błysnęło i znikło. Wychodzące od jednego z kraterów promienie wyraźnie zmieniły barwę — były teraz o ton jaśniejsze. Ponowny błysk — tym razem na grupie skał otaczających morze zastygłej lawy. Czyżby testy z bronią? Czekał w napięciu na nowe błyski. Nic. Musiało mu się wydawać. Przymknął powieki, odsuwając się od teleskopu.

— Nie gorączkuj się. Kto mówi o przesadzaniu? Doktor Zander proponuje niewielką korektę, powiedzmy: wymianę płynów i niektórych organów. Rzepki kolanowe masz już do niczego...

— Dziękuję bardzo. Moje rzepki zniosły trudy kampanii marsjańskiej i posłużą mi do końca.

— Namyśl się... — żeby nie dać się ponieść emocjom, skupił spojrzenie na niebie.

— Już się namyśliłem. Nie, i basta!

— Ożeż ty...!

— Basta, powiedziałem! — nasrożył się wuj.

— Zapomnij o rzepkach!

Nic więcej nie mógł już powiedzieć. Sparaliżowała go piskliwa sekwencja dźwięków. Nad pracownią wisiał spodkowaty pojazd Obcych, lustrując pomieszczenie snopem czerwonego światła. Po szyi, czole i karku młodszego Thatchera spłynęły krople potu. Stał z dłonią uniesioną w pół gestu, bezbronny wobec obłądnego kwiku wścibskiej maszyny. Jednocześnie rozległy się kocie wrzaski i z góry runęły na podłogę dwa puchate kształty, strącając po drodze z półek kolekcję muszli, pudło z półszlachetnymi kamieniami i talię kart tarota.

Stary Sean był przedwojennego chowu — bardziej odporny. Zareagował nadspodziewanie żywo. Nie mogąc znaleźć funkcji na pilocie, doskoczył do tablicy rozdzielczej. Omal się przy tym nie przewrócić, zderzając się ze spanikowanym kotem, utrzymał jednak równowagę, celnym kopnięciem zagonił zwierzaka pod fotel i uruchomił mechanizm sufitowej pokrywy.

Stalowe płatki nachodziły na siebie, zamykając się warstwami i odcinając ich od potwornego, wszędobylskiego dźwięku. Razem z nim znikał czerwonawy blask. Gdy ostatni srebrny płatek znalazł się na swoim miejscu, Ram Dass odzyskał władzę nad kończynami.

— Znów zaczynają węszyć — mruknął, ruszając barkami. — A już był taki spokój. Gdybyśmy wiedzieli, skąd są, moglibyśmy ich przynajmniej pozwać za łamanie Konwencji, a tak... przylecieli, polecieli i mają nas w dupie!

— Niech ich pochłonie mgławica Chrzążącej Maciory. Pomówmy raczej o tobie. Zachowujesz się jak ostatni zdechłak — powiedział surowo wuj.

— Co za durna reakcja: dosłownie wmurowało cię w podłogę. I to ma być agent?

— Żaden ze mnie agent — przyznał pokornie Sługa Boży Thatcher. — Może nareszcie zrozumiesz.

— Od kiedy to masz?

— Od dawna. To był jeden z powodów odejścia na wcześniejszą emeryturę. Opowiadałem ci.

— Nic mi nie mówiłeś.

— Mówiłem, tylko nie chciałeś słuchać!

— Muszą być na to jakieś leki.

— Nie ma. W dodatku prawie każde bliskie spotkanie wywołuje u mnie mdłości. Kiedyś zdarzyło mi się nawet puścić pawia przy Obcych... Przyjęli to jak obelgę...

— Niesłychane, mogłeś wywołać międzygalaktyczny kryzys!

— Chodźmy już spać, wuju — jęknął syn Liama, zawstydzony własną słabością.

Sean zabębnił o ścianę sękatymi paluchami. Przypadłość bratanka była mu jakoś wstrętna, niemęska.

— Najpierw zrobimy sobie kilka pysznych zapiekaneł z serem — oznajmił autorytarnie. — Nie jesteś głodny po fajce?

Od kuchennej wnęki, która była częścią pracowni, odgradzała ich zasłona ze szklanych koralików. Wuj odsunął ją zachęcającym ruchem.

— Nie jesteś głodny? — powtórzył.

— Jestem — powiedział Ram Dass, wchodząc między sznury paciorków — ale od sera dostaję migreny.



II

Zerwał się z posłania, gdy było jeszcze szaro, na kilka minut przed pianiem czasoguta.

Róg sypialni zajmowała, zniekształcona przez mrok, dwudrzwiowa szafa na pękatych nóżkach. Wydała mu się przyczajonym, groźnym stworzeniem. Zadrwił w duchu ze swego paranoicznego umysłu. Wkrótce stanie się jak tutejsi: podejrzliwy do granic, w ciemności wypatrujący duchów, mieszający przywidzenie z rzeczywistością. Czuł nerwowe pobudzenie. Nie wiedział tylko, czy winne są wczorajsze zapiekanki, na które dał się skusić wujowi, czy też chodzi o coś innego. Przypomniiał sobie, że całą noc dręczyły go niespokojne sny.

Najpierw ten o pojękującym z bólu smoku, którego napotkał, idąc przez pustynię. Spojrzał na bok jaszczura. Pod łuskami utworzyły się nabiegłe ropą pęcherze. „Musimy je przeciąć”, powtarzał, ale nigdzie wokół nie widział odpowiedniego narzędzia. Gdy długi ogon uderzył o ziemię, widok przesłoniła chmura pyłu, zmieniając się nagle w czerwone światło. Mnóstwo czerwonego światła. Ogłuszył go rozdzierający pisk. Wewnątrz jego głowy rozerwały się jakieś skrzepy, z których pociekł ciepły strumyczek krwi.

Przysiadł na skopanym prześcieradle, po czym zazgrzytał zębami, jakby wciąż męczył go senny koszmar. Ale to nie był sen — po prostu za oknem zapiał przejmująco czasogut. Ram Dass zakupił go niedawno na życzenie żony, choć nie znosił mechanicznych ptaszydeł. Mary podzielała jego

awersję, ale twierdziła, że potrzebują niezawodnego wybudzacza, dzięki któremu przestaną przysypiać poranki i dzieci nie będą już spóźniać się do szkoły. Stał więc teraz: tęczowopióry czasogut klasy lux, z wbudowaną funkcją „modlitwy i przeboje”, i zanosił się skrzekliwym pieniem. W przerwach tłukł dziobem o framugę okna.

Ram Dass zmusił się do wstania i podejścia do okna, za którym zaczynał jaśnieć dzień.

— Przymknij się... — wymamrotał, odsuwając kotarę.

Widział stąd całą dolinę: świeżo pobielone domy sąsiadów, kościół i świątynię Trzeciego Oka, rzekę Tisztę wraz z wypożyczalnią łodzi, posterunek policji, punkt kontroli pojazdów, dystrybutory żywności i sklepy. Idylliczny obrazek. Resort O’Kirk należał do regionów chronionych, co pozwalało jego mieszkańcom na życie we względny spokoju. Opierali się zmianom i — coraz gęściej spadającym na świat — międzygalaktycznym regulacjom, ale pewnych spraw i tak nie byli w stanie powstrzymać. Nikt nie mógł im też przywrócić śnieżnych zim i chłodnych, deszczowych wiosen. Ram Dass westchnął ciężko: za dwa, trzy tygodnie zaczną się upały. Przekłeta cieplica!

— Kuku guu, Kuku guuuu! *Och, baby, baby...* Mamy dziewiąty kwietnia, dzień urodzin Królowej! — podskoczył na parapecie czasogut.

— Nienawidzę budzić się o tej porze. Źle mi to robi na cerę... — zmaltretowana buzia Mary wyjrzała spod kołdry.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim urodziłaś dzieci — zaśmiał się Ram, wyciskając całusa na jej smagłym policzku. — W każdym razie... dziękuję! — dodał, wciągając na siebie szybko ulubione, workowate spodnie.

Przekonawszy się, że państwo Thatcherowie opuścili łóżko, czasogut dał sobie hasło do zamknięcia dzioba i usunął się z widoku. Cisza trwała jednak krótko. Po chwili z korytarza dał się słyszeć tupot bosych stóp i głosik najmłodszej Thatcherówny:

— Mamo, oderwał mi się guzik przy mundurku!

Ram Dass popatrzył na żonę z czułością. Dziś była jego kolej na odwiezienie dziewczynek, ale wstała mimo to, by pomóc Lalicie w przygotowaniach i zrobić wszystkim kanapki. Mało kto nosił do szkoły kanapki, ale Ram Dass i Mary pod wieloma względami byli dziwni. Wciąż uprawiali staroświecki

seks, nie brali udziału w programie nieśmiertelności, wakacje spędzali na Ziemi i uparli się, żeby nauczyć swoje dzieci ręcznego pisma. Jedzenie także traktowali zachowawczo. Batony z gwiazdnym pyłem, które oferował szkolny sklepik, budziły ich podejrzliwość. Dzieciaki były po nich nabuzowane i nie potrafiły usiedzieć w miejscu.

— Ciągłe wprowadzają jakieś wynalazki i chcą je testować na moich dzieciach. Mowy nie ma! Widziałam te blade biedactwa, które żywią się pyłem — mówiła Mary, gdy Gudrun, Rachela i Lalita siedziały już przy stole i czekały na swoje drugie śniadanie.

Prawdziwy, wypiekany w domu chleb, masło ubijane ze śmietany pochodzącej od pana Zelenki, pomidory i sałata z przydomowego ogrodu — Mary zadawała sobie wiele trudu, żeby nakarmić rodzinę. Krzątała się szybko po wyposażonej w zwykły kredens, kuchenkę i lodówkę kuchni, i Ram Dass dobrze wiedział, że kiedy zostanie w niej sama, ruszy bez sprzeciwu do zlewu, odkręci kran i własnoręcznie zmyje naczynia. Była prostą dziewczyną z O’Kirk, zbuntowaną przeciwko automatom (jedyne wyjątek zrobiła na rzecz czasoguta), dumną ze swego pochodzenia wnuczką i córką rebeliantów. Jej dziad był przywódcą sekty Prostaczków, za co w strasznych dniach elektronicznej nagonki zapłacił więzieniem i dekapitacją.

„Gdy przyjdzie czas, poślubisz dziewczynę ze swoich stron, pyskają i pracowitą, o dobrym sercu. Będzie miała ciemne oczy i włosy skrzące się czerwienią”, powiedziała kiedyś Ram Dassowi matka. Mieszkali wtedy w stolicy. Miał kilka lat, interesował się najnowszymi modelami śmigaczy i nie wierzył w matczyne przepowiednie. Zapomniał o wizji i nie czekał, aż się spełni. Tak się złożyło, że jego partnerki z pierwszych randek były blondynkami i stylizowały się, wedle ówczesnej mody, na wielkomiejskie narkomanki. Jednej nigdy nie poznał w realu: była eskapistką, budziła się i zasypiała przy włączonym komputerze; uznawała tylko zdalne spotkania. Po Akademii Wojskowej pochłonęła go praca. Najdłuższy związek, jaki mu się przytrafił, rozegrał się na Bliskowschodniej Konferencji Pokojowej i trwał niecały miesiąc. Do O’Kirk przyjechał dopiero na pogrzeb matki. Na cmentarzu spotkał brązowooką dziewczynę z naręczem kwiatów w dłoni. Popatrzył na jej łagodny profil, na długie warkocze: kasztanowe, z pojedynczymi ognistymi nitkami, i rozpoznał ją od razu. To była jego żona. To była Mary.

— O czym myślisz, tato? — zagadnęła Gudrun, kiedy zjeżdżali ze zbocza.

Bryczka kołysała się i podskakiwała na wykrotach. Rachela i Lalita siedziały z tyłu ze słuchawkami na uszach, powtarzając pracę domową z matematyki.

— Przypomniałem sobie, jak spotkałem waszą mamę... — uśmiechnął się Ram Dass.

— Ach, to! Słyszałyśmy to już tysiąc razy! — nadęła się średnia córka, poprawiając równo przyciętą grzywkę. Była najwyższa z całej trójki i jak dotąd wykazywała się największą skłonnością do narzekania. — A już myślałam, że zastanawiasz się może, czy nie lepiej było wyprowadzić z garażu śmigacz i polecieć jak każda normalna istota, zamiast wlec się tym... tym czymś!

Jakby na potwierdzenie jej słów nad drogą ukazały się dwa śmigacze — grawikary: jeden cętkowany, o wydłużonym kształcie, drugi pomarańczowy, o obłych liniach. Cętkowany przeleciał na wysokości szkółki leśnej, pomarańczowy sunął nieco wolniej, jakieś pół metra nad żwirowaną nawierzchnią.

— Paliwo jest drogie. Wiesz, że musimy oszczędzać. Przynajmniej w tym miesiachu.

— Nie musielibyśmy, gdybyś miał własną wytwórnię!

— To dopiero kosztuje! Trzeba ją najpierw zbudować, moja panno. Mam wziąć kolejny kredyt?

I tylko mi nie mów, że wszyscy tak robią! — uciął kategorycznie Ram Dass. — Właściwie — dodał miłszym tonem — bardzo przyjemnie jest tak sobie jechać... powozić konikiem.

— Chciałeś powiedzieć: starą szkapą? — nachmurzyła się jeszcze bardziej Gudrun.

— Ciii, nie mów tak o niej — wskazał na rozłożysty zad konia. — Będzie jej przykro!

Klacz miała swój honor: najwyraźniej usłyszała przytyk. Ledwie znaleźli się na drodze, nabrała rozpędu i ruszyła z kopyta, aż musiał mocniej ściągnąć lejce. Przetoczyli się koło kamiennych kręgów na zakręcie i mknęli dalej, mijając odpoczywającą na poboczu grupę szybkochoarów. Bryczka zaskrzypiała niebezpiecznie. Następny zakręt wyniósł ich na porośnięte wysokimi trawami pola. Tutaj nie było już żwiru, tylko ubity przez podróźnych piasek. Droga gubiła się w zagajniku. Uchylali się od siekących po twarzach gałęzi. Potem wypadli znowu na otwartą przestrzeń. Czując na

skroniach wiatr, Ram Dass pomyślał, że to odpowiedni moment na przywołanie deszczu. Wystarczyłoby jedno małe zaklęcie ze skarbnicy matki. „Nie wolno”, skarcił się w duchu, podczas gdy Berta parla ambitnie do przodu. „Wszystko powinno się odbywać na-tu-ral-nie. Czego przybywa w jednym miejscu, ubywa w innym”.

— Tatku! Ale jazda! — Lalita włożyła słuchawki do torby i wpatrywała się z entuzjazmem w majaczące przed nimi miasteczko.

Zerknął przez ramię na rudą główkę Racheli. Siedziała w milczeniu, niewzruszona, skubiąc palcami spękana, dolną wargę. Czasem wydawało mu się, że jego najstarsza córka zapowiada się na eskapistkę.

— Prrrr, zwolnij, Berta, zwolnij! — zacmokał, przejeżdżając rogatki.

Rynek pogrążony był w porannej martwocie: pijak drzemiący przy fontannie z wyszczerbionym amorkiem, zamknięte na głucho okiennice sklepów. Senny obraz ożywiła przewiązana kokardą kitka dziewczynki, która zmierzała w tym samym co oni kierunku. Obok małej włókł się utyłany w zaschniętym błocie robot opiekun.

— Widzisz? — zerknął z zadowoleniem na Gudrun — zdążyliśmy. Za piętnaście siódma — odczytał godzinę z elektronicznego paska na jej plecaczku. — Ja chodziłem na ósmą — chrząknął ze współczuciem — i też z trudem się wyrabiałem. Niedługo każą wam tu chyba nocować — zachichotał.

Wzruszyła ramionami. Ojcowskie żarty przestawały ją bawić. Byli już prawie u wylotu brzozowej alei, która powoli wypełniała się młodzieżą i dziećmi. Ktoś kopnął tabliczkę z napisem: *Gwinethborough College*. Litery zgasły, po sekundzie zapaliły się na nowo. Na parkingu stało kilkanaście skuterów, rower i dwa grawikary: te same, które zauważyli po drodze. W cętkowanym siedział, racząc się piwem z puszki, gładkolicy chłopiec o fryzurze uformowanej w wysoki czub, ubrany w kombinezon z ponaszywanymi tu i ówdzie suwakami. Na jego widok Gudrun najpierw zgarbiła się w sobie, a potem nagle wyprostowała, wbijając wzrok w przestrzeń.

— Tu wysiadam! — chwyciła plecak i zeskoczyła na ziemię.

— Rozumiem, rozumiem. Nie jestem taki tępy, jak ci się wydaje...

— Nic mi się nie wydaje!

Patrzył za nią, oszołomiony i smutny. Przymaszerowała dumnie koło właściciela cętkowanego śmigacza, po czym wmieszała się w rozgadany tłumek, odnajdując koleżanki z klasy. Rachelą i Lalita szykowały się, żeby pójść w jej ślady. Chciał krzyknąć: „Co? Wy też się wstydzicie starego ojca?!”, ale powstrzymał się, puścił lejce i zeskoczył z kozła.

— Zmykajcie, bo się spóźnicie — wyszeptał, całując je na pożegnanie.

— Do widzenia, tatusiu, kocham cię — Lalita przejechała drobną rączką po jego nieogolonej szczęce.

— Uważaj na nią — zwrócił się do Racheli. — Odprowadź ją pod same drzwi, dobrze? Proszę cię. Ciągłe jeszcze mylą jej się piętra.

— Będę. Na piętra. Uważała — odpowiedziała swoim zwyczajem, w poetycko niekomunikatywny sposób, i już jej nie było.

Ram Dass odprowadził bryczkę na bok. Wbił dłonie w kieszenie i rozejrzał się, próbując rozpoznać w mijających go osobnikach potomstwo znajomych lub sąsiadów. Niektórzy nawet go pozdrawiali: „Dzień dobry, panie Thatcher”, „Dobry, sir”. Uśmiechał się, ale zupełnie ich nie kojarzył. Może za szybko rośli, lub też za często zmieniali wizerunek? Dobrze znał ten stan nastoletniego kociokwiku, gdy styl jest bogiem, a wygląd wszystkim. Powtarza się wyczytane w Sieci cudze myśli, rzuca frazy zasłyszane w piosenkach, a świat wokół jest dekoracją do toczącego się w głowie filmu. Brrr! Nigdy więcej nie chciałby tego znów doświadczyć.

W cieniu brzózek, wokół nieruchomego słupa, poruszały się chłopiące postacie. Kiedy przyjrzał się uważniej, zobaczył, że słupem jest pan Thompson XC, nauczyciel chemii. Paru nakręconych gwiazdny pyłem lub innym paskudztwem wyrostków obskakiwało go ze śmiechem. Ram Dass ruszył czym prędzej ku zbiegowisku.

— Siarkowodór, smroduł, moduł. Dwa-ha-ce-o, mnożnik, dzielnik, pierdzielnik! — rechotał przewodyr grupy. — I co pan na to, panie XC?

Fiolkowe oczy androida wpatrywały się gorliwie w ucznia.

— O co mnie pytasz, Arturze? Sprecyzuj pytanie, wtedy będę ci mógł pomóc. Mówisz mi, że nie odrobiłeś pracy domowej, bo...

— Bo nie zrozumiałem — Artur, wyrośnięty młodzian w spodniach od szkolnego mundurka i podkoszulce w trupie czaszki, przybrał minę niewiniątka.

— Zwłaszcza tego doświadczenia, psze pana. Chodzi o to, czy jak się skrapla, to swędzi, czy też pozostaje w stanie stałym?

— Twoja wypowiedź jest... — android zasępił się, przetwarzając dane — jest alogiczna. Lub też może posługujesz się logiką paradoksalną, którą prze-rabiasz z panem Dubą na kursie fizyki... on ci odpowie... z pewnością... ja, niestety, chciałbym ci pomóc, ale...

— Pomóc! Słyszałeś, Brad? — prowodyr mrugnął na grubego kolegę.

— Daj spokój, gość nie ma mózgu, tylko druciki — grubas skrzywił się, zezując czujnie ku nadchodzącemu Ram Dassowi.

Syn Liama i Any skupił się i skierował całą siłę na ton głosu:

— Dzień dobry. Nie przeszkadzam?

Była to jedna ze sztuczek, których nauczyła go matka. Zawsze skutkowała. Jego obecność była w tej chwili silnie odczuwalna. Młodzi poruszyli barkami, jakby brali pod uwagę możliwość bijatyki. Android zaskrzeczał od nadmiaru nierozpoznanej energii.

— Dzień dobry, witam pana. Pańskie zamiary są...

— Przyjazne, jak najbardziej przyjazne. Nazywam się Thatcher, uczy pan moją Rachelę... — uściśnął niezbyt mocno wyciągniętą ku niemu dłoń.

— Ach, Rachelę, tak — rozpromienił się obleczony w laboratoryjną biel nieszcześnie. — Uroczą! — wypalił z jakimś niestosownym sentymentem.

Ram Dass uniósł ze zdziwieniem brwi. Czyżby nowe zjawisko: android molestujący uczennice?

— To prawda, można ją nazwać uroczą. Dlaczego przyszło to panu na myśl?

— Przecież on nie myśli — syknął Brad, wycofując się ostrożnie.

Zamiast go przepuścić, Ram położył rękę na grubym karku i lekko naciśnął sobie tylko wiadomy punkt na potylicy. Brad zachwiał się.

— Idziemy, ziomki — zagałł grzecznie. — Nie możemy się spóźnić na lekcję.

Reszta grupy rozdziawiła usta. Przytknęło zwłaszcza Artura.

— Ty, co ci jest? — jęknął do kolegi, gdy odzyskał zdolność kontaktowania się z otoczeniem.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

RAM DASS THATCHER (Sługa Boży Thatcher) to trzydziesty ósmy baronet O'Kirk i był agent tajnych służb Jej Królewskiej Mości. Po ojcu odziedziczył zawód i awanturniczą naturę, po matce wysoki stopień zdolności paranormalnych... To mieszanka, która gwarantuje, że Ram Dass nie pozostanie długo bezczynny, choć w momencie, gdy go poznajemy, przebywa na wcześniejszej emeryturze w jakimś miejscu na Ziemi i prowadzi spokojne życie prowincjusza – z żoną, dziećmi i wujem Searem. Jednak wkrótce znów wyruszy w drogę, na pomoc planecie Niburu, w poszukiwaniu Króla Zachodnich Sroków. Podróż zacznie się dość banalnie, od jazdy pociągiem w towarzystwie szalonego wuja i androida XC, dawniej nauczyciela chemii w miejscowej szkole.

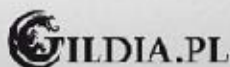
Maszynista stał na stopniach lśniącej lokomotywy i spoglądał w dół niczym kapłan na okręcie, przysłaniając zaczerwienione od niewyspania oczy daszkiem rozpostartej diadymy. Ulatniająca się mgła odsłaniała kształty i kolory. Ram Dass rozprzął się, badając wzrokiem ludzkie twarze, zarośla i drewniany budynek stacji. Pod piecakiem, między łopatkami, czuł podłużny, twardy kształt miecza. Idiotyczne uzbrojenie, z którym nijak nie potrafił się oswoić.

Wykupili dla siebie cały przedział w pierwszej klasie. Na podłodze dywanowa wykładzina z prawdziwej wełny. Miękkie, rozkładane siedzenia na dole, leżanki na górze. Poduszki, ścieżka pościel, koce, szafka na ubrania i maleńka antywalka w rogu.

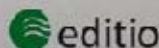
– To mi się podoba! – oznajmił wuj, dokonując inspekcji otoczenia. Upchnął plecak w szafkę i wyciągnął się z zadowoleniem na siedzeniach. – Android idzie na górę – burknął nienajprzejmnie po czym sięgnął do sakwy na piersiach i wyciągnął stamtąd pominiętą, złożoną we dwoje płachtę „Timesa”.

JULITA GRODEK – pisarka, scenarzystka, dziennikarka, tłumaczka z języka angielskiego i rosyjskiego, autorka sztuk teatralnych. Jej sztuka *Techniki negocjacyjne* w reżyserii Małdaleny Piekorz miała premierę w Teatrze Telewizji w programie 1 TVP w 2006 roku. Jej debiut książkowy, *Opowiadania ze Starego Domu*, ukazał się nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka w 2000 roku. W 2007 roku miesięcznik literacki opublikował fragment jej powieści *Przesilenie*. Julita Grodek mieszka i pracuje w Warszawie.

PATRONI MEDIA.NET



(Nr katalogowy: 8609)



Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
http://editio.pl

Cena: 39,90 zł

ISBN 978-83-246-5014-9

